

FRAGMENT PRZEKŁADU– Work in Progress

HOWARD BARKER

EUROPEJCZYCY – BOJE O MIŁOŚĆ (1990)

AKT PIERWSZY

Scena pierwsza

Równina, po bitwie.

LEOPOLD: Ha ha ha

Ha ha ha *(Podchodzi do siedzących w kucki JEŃCÓW).*

Śmieję się

Śmieję się

Gdzie jest malarz? *(Wchodzi POSTAĆ z deską i sztalugą).*

Ha ha ha

Ha ha ha *(MALARZ szkicuje).*

Ziemia przesiąkła bólem

Na każdym krzaku wiszą flaki

Żniwo wdów i sierot

Śmieję się.

OFICER *(obserwuje):* Turcy! Turcy!

LEOPOLD *(nieporuszony):* Pieprzyć Turków. *(Wystrzały. OFICEROWIE chowają miecze do pochew. MALARZ maluje. LEOPOLD klęka).* O, Boże, dziękuję, Boże, sługa uniżony, niech

ciała mahometan użyżnią ziemię chrześcijan. Oddaję ci pokłon, Boże, niech cała ta islamska padlina wyda plon, który nakarmi wszystkich, po najuboższego wyrobnika, a on powiesi krucyfiks nad progiem i odwiesi broń na hak. Na ośnieżonym polu syn jego będzie kopał tatarską czaszkę, którą wydobył z ziemi pług...

OFICEROWIE (*wyciągając miecze z pochew*): Turcy! Turcy!

LEO: Pieprzyć Turków... (*Ogień artyleryjski. MALARZ podnosi się zaniepokojony*). Boisz się śmierci?

MAL: Nie.

LEO: Tylko tak mówisz.

MAL: Nie ja...

LEO: Mówisz nie, a myślisz tak. Boisz się śmierci, dlaczego?

MAL: Mam to... Żyję w tym... strasznym złudzeniu, że jestem przyzwoitym malarzem, a... na razie nie mam wielu dowodów... więc...

LEO: **Ha ha ha**

Śmieję się

MAL: Słusznie, ale...

LEO: Myślisz, że oszalałem, ale szaleni są mówcy naszych czasów...

MAL: Tak...

LEO: Dlaczego?

MAL: Dlaczego...

LEO: Są szaleni, tak?

MAL: Ja...

LEO: Odpowiadasz tak na każde moje pytanie, zgadzasz się ze wszystkim, to jak chcesz zostać przyzwoitym malarzem?

MAL: Nie wiem...

LEO: Spójrz na jeńców, ależ oni drżą, jak sitowie na brzegu jeziora, gdy ich bracia się zbliżają, niby wiatr pojawiają się i odchodzą...

Przegrałeś

Przegrałeś

Żaden pieprzony lansjer Seldżuka cię nie oswobodzi, Ali! Narysuj ich, uwiecznij ich przerażenie, nie rozumieją, dlaczego ich bóg ich opuścił, rysuj ich!

OFIC: Turcy! Turcy!

LEO: A, pieprzę wasze alarmy, rozmawiam o sztuce! (*Wracając do tematu*). Zwłaszcza tego z kitką na czubku głowy, fryzura z jego stron, siedzi w kucki, patrzy w dal, bo wie, że czeka go egzekucja, uchwycić to. Chociaż nie wiem, jak udaje ci się coś narysować tymi rozdygotanymi palcami...

MAL: Jest zimno...

LEO: **Jest zimno, to Europa!** (OFICEROWIE *zaczynają wiwatować*).

OFIC: **Starhemberg! Starhemberg!**

LEO: A, Starhemberg, jak oni kochają tego skurczybyka, wielbią tę kupę gnatów, bo nie okazał strachu, przesiedział oblężenie, choć cesarze uciekli, o tej chwili marzyłem, klękam, klękam przed tobą, zbawco chrześcijańskiej Europy, klękam i liżę twe łapska, a tutaj mamy malarza, który uwieczni mój hołd i tak dalej, Leopold uniżony, Leopold suplikant!

OFIC: **Star-hemberg!** (*Wchodzi STARHEMBERG, podchodzi do LEOPOLDA, klęka*).

Star-hemberg!

LEO: A oni dalej krzyczą, wielbią cię bardziej niż mnie...

STAR: Nie, za nic...

OFIC: **Star-hemberg!**

LEO: **Śmieję się**

HA ha ha

Spałem w wygodnych łóżach, kiedy ty rzucałeś trupy na wyłomy w murach, składałam ci uniżone dzięki a jednocześnie nienawidzę cię oczywiście za okazaną szlachetność charakteru jakim nie zostałem obdarzony ale skąd miałem wiedzieć że Europejczycy nagle się zjednoczą? Pierwszy i ośmielę się twierdzić ostatni raz udało nam się tak cię olać i tak dziękować! (*Padają sobie na krótko w objęcia*). Teraz wyrznąć tych tutaj. (*Wskazuje TURECKICH JEŃCÓW*). Bo ich bracia z Anatolii powiedzą, że chrześcijanie są miłosierni i biorą jeńców, nie, żadni Turcy się już tutaj nie przywleką, chyba że odźwierni, śmieciarze, właściciele kawiarenek i tym podobni, **zabierać ich!** (*JEŃCY zostają brutalnie wykopani ze sceny*).

Ha ha ha

Śmieję się

(*do MALARZA*) Uchwyciłeś to? Nie będę się drugi raz ścisnął z tym worem gnatów.

MAL: Tak...

LEO: Teraz do Wiednia, zażyć sarkazmu ocalałych.

STAR: Nie, z pewnością...

LEO: Tak, w istocie, a jak zaczną rzucać kapustą...

STAR: W Wiedniu nie ma kapusty, jedliśmy psy...

LEO: Psy, naprawdę? Nie pierwszy raz i nie ostatni psy zastąpią nam ciasto, czy posprzątano w pałacu? Jeśli tak, to niech z powrotem narzucą gruzu, powinniśmy wrócić, gdy panuje tam chaos, przekręcony herb, monogramy w rozsypce etcetera, dziury od kul armatnich nad łóżkiem. Sądzę, że Wiedeń zazna jeszcze strzałów armatnich i nie raz pochowa umarłe z głodu dzieci. (*Pada na kolana, jakby w paroksyzmie wycieńczenia*. OFICEROWIE przyglądają się temu z zakłopotaniem. Wchodzi CESARZOWA, gestem ręki nakazuje im się odsunąć. Podchodzi do niego, kładzie mu dłonie na ramionach).

CESARZOWA: W Lasku Wiedeńskim leżą ciała pięciuset kobiet z wyprutymi wnętrznościami.

Smród.

Wszystkich klas.

Smród.

Wszystkich szarż.

Pożeganie islamu.

Polacy ocalili Paryż.

LEO: Paryż...?

CES: Rzym.

LEO: Rzym...?

CES: Londyn. Kopenhagę. Amsterdam. Polacy ocalili pięć milionów kobiet, które w tej chwili śnią, robią na drutach, podcierają pupy niemowlętom, obciągają przyjaciółom mężów, piszą powieści, obrębiają zasłony, teraz musisz się podnieść, wiatr zmieni kierunek, proszę, masz tu chusteczkę nasączoną wodą kolońską, jest na niej mój monogram, którego wyszywanie zabrało komuś dwadzieścia siedem godzin, powie ktoś, że szkoda na to życia, ale nie jest to zajęcie głupsze od pisania powieści lub tego, co w kręgach postępowych uchodzi obecnie za wolność, a przynajmniej wnętrzności ma na miejscu, jej w nic turecki sztylet nie ugodził, rusz się, kochany wrażliwy duchu. Czasami wydaje mi się, że rojenia szurniętych postępowców mają oparcie na bagnietach, słyszysz, co mówię? To znaczy: cała ta głupia paplanina w Paryżu opiera się na Polakach, włącznie zabobonnych wieśniaków pozwalają unosić się ich słowom, Turcy zamknęliby ich salony, do haremu z tymi sukami, mówi Seldżuk, a, podnosisz się, musimy oficjalnie wejść do miasta i złożyć dziękczynienie. Bóg tym razem utracił Allacha... (*Opada na ziemię obok niego*). W ciągu jednego dnia odzyskaliśmy imperium, które rozciąga się od Alp po Bałtyk, myślałam, naprawdę myślałam,

że umrzemy w jakimś nadmorskim hotelu, Leopold, ucałuj me brzydkie usta, a ja ucałuję twoje...

LEO: Patrzą... służba...

CES: A co oni mnie obchodzą, pocałuj mnie na tym morzu krzyku, trzęsawisku straszliwie pomordowanych, odzyskaliśmy Europę... (*Całuje ją. OFICEROWIE dobywają mieczy*).

OFICEROWIE: **Wiwat Habsburgowie! Wiwat!**

Scena druga

Klasztor. DZIEWCZYNA siedzi na krześle.

KATRIN: Własnymi słowami. (*pauza*)

Moimi własnymi słowami. (*pauza*)

Biedni nie mają ani słów ani majątek. (*pauza*)

Ach, jak bym chciała umieć czytać, o, jak bym chciała umieć liczyć, marzę o jakichś kłamstwach! (*pauza*)

Więc ci czterej żołnierze powiedzieli... (*pauza*)

Nie.

Nie. Może nie było ich czterech. I może to wcale nie byli żołnierze. Ale na pewno mieli broń, a Turcy nie noszą mundurów, więc ze względu na. (*pauza*)

Powiedzmy czterej. (*pauza*)

Czterej żołnierze powiedzieli kładź się... nie, nie powiedzieli tego, nie użyli słów, przekazali bardzo prostymi gestami, że tego ode mnie oczekują, obyło się bez słów, słowa były zbyteczne, chociaż obie strony wyrażały się w języku, i ja , i oni, ale raczej bez słów, nie. (*pauza*)

Następnie położyłam się na brzuchu z twarzą w trawie stosunkowo miłej w dotyku.

Oczywiście w najmniejszym stopniu się nie wstydzę, opisywanie tego przychodzi mi z

łatwością, ale czy mogę prosić o szklankę wody? Suchość w ustach sugeruje niepokój, ale mnie zasycha w gardle, ponieważ miałam je poderżnięte, naruszony został pewien kanał czy kanalik, coś anatomicznego uległo nieodwracalnemu zniszczeniu. (ZAKONNICA *stawia przy krześle szklankę wody i wychodzi*).

Tobie jest wstyd nie mnie, ale ja wszystkim wybaczam, następnie jeden z nich podniósł mi spódnicę przepraszam... (*Pije*).

Albo kilku, będę o nich teraz mówiła w liczbie mnogiej, twój o wielu głowach, wielu nogach i masie ust, a ja oczywiście nie miałam majtek, a mówiąc ściśle... (*Pauza*).

Posiadam jedną parę, ale na specjalne okazje. To rzeczywiście była specjalna okazja, ale gdy wstawałam rano, nie zdawałam sobie z tego sprawy, i miałam wiele myśli, ale najpierw pomyślałam – nie, przesadzam, twierdzę, że znam porządek własnych myśli **coś za śmieszny pomysł** – proszę to skreślić, nie **pośród kaskady wrażeń** – tak lepiej – precyzyjniej – kaskada wrażeń – pojawiła się myśl, przynajmniej **nie muszę się całować**. (*pauza*) Usta są święte, usta są uświęcone, otwór anatomiczny, którym wypowiedziałam swoje najdoskonalsze, religijne myśli, będą tylko umazane trawą, ale nie. (*pauza*)

Nadażasz za mną? Czasami trafiam na nurt i wtedy słowa płyną same – rwący potok – kaskada – znowu kaskada, dopiero co użyłam tego słowa! Odkryłam je i wyraźnie polubiłam, będę go używała zapewne do znudzenia, kaskadowo! Ale ty... (*pauza*)

A potem odwrócili mnie jak kawał wołowiny, podobnie jak rzeźnik przerzuca mięso z uboju, nie bez poczucia pewnego rodzaju bliskości, dość brutalnie, a jednak z wyczuwalną maleńką dozą ciepła, ach, nie, słowa płyną same, nie to miałam na myśli, precyzja jest taka... precyzja znika, gdy po nią sięgamy, wymyka się i przerzucono mnie i to **coś o wielu wargach**... (*Jej ciałem wstrząsa spazm, wydaje przerażający krzyk i z impetem strąca szklankę z wodą. ZAKONNICA podtrzymuje ją. KATRIN dochodzi do siebie*).

Rozlałam wodę – nie mów, że wody jest dość, że jej nie zabraknie – podobnie jest z życiem – nie wycieraj podłogi, mogę się napić z podłogi, aby usta... (*Pauza. ZAKONNICA odchodzi*).

Usta, które uważałam za wcielenie i sedno prywatności, obsypali wilgotnymi, ciekłymi – nie sądzę, by można je nazwać pocałunkami – tak, tak, pocałunkami, to były pocałunki próbuję się ukryć za językiem, ach, tym językiem, z którego wyciągam jakby mosiężne pręty, by się ukryć, nie, to były **pocałunki**, bo przecież pocałunki mogą pochodzić z nienawiści – pocałunki, tak, ach, tak... (*Pauza*)

Przemokłam od ich pocałunków, zalali mnie nimi, zmoczyli, wargi mam od nich sine, wgryzali się w usta i wpychali mi do gardła tysiąc języków, **i to był dopiero początek dopiero początek ty z notesem zaczekaj!** (*Pauza. Opanowuje przerażenie. Z ciemności wychodzi KSIĄDZ*).

ORPHULUS: Myślę, że na dzisiaj już dość...

KATRIN: Czemu...

ORPHULUS: Napięcie z powodu...

KATRIN: Napięcie, tak...

ORPHULUS: Sprawia, że...

KATRIN: Z pewnością...

ORPHULUS: I my przecież, my także...

KATRIN: Wy także, tak, całkiem słusznie, cierpicie, gdy ja...

ORPHULUS: Niezmiernie, i...

KATRIN: Niezmiernie, tak, ależ naturalnie... (*Widzi wychodzącą ZAKONNICĘ*).

Nie wychodź! (*Zakonnica idzie dalej, nie zwracając na nią uwagi. Pauza*).

Oszalałam, prawda? Nie cierpię tego słowa, ale z technicznego punktu widzenia

wyduje się naprawdę odpowiednie. Proszę nazywaj mnie szaloną, tak bym sobie życzyła.

Marzę, żeby przypisano mi szaleństwo. Jestem tego spragniona.

ORPHULUS: Mnie wcale się nie wydaje, że oszalałaś, ale...

KATRIN: **Och, daj spokój!** (*W nagłym przypiływie natchnienia*). Słuchaj, to jest szaleństwo, oto dowód! Wyobrażam sobie, marząc o tym namiętnie, widzę wyraźnie jakąś piękną dolinę Dunaju, gdzie dziewczyna muzułmanka klęczy zwrócona twarzą ku Wschodowi. Składa pokłon w stronę Mekki, rozkłada swój turecki ekwipunek, tureckie lustro, turecką matę, i wplata sobie we włosy siedmiogrodzkie kwiatki, aż tu nagle wypadają na nią jak huragan nasi żołnierze, śmierzący koniem, i przybijają ją do ziemi nożami, tną jej nagie pośladki i uda, doskonale piersi dziurawią jak sito przez które płynie krew, wszystkie kanaliki czerwone, wszystkie cedzą grozę, bo jaką przyjemność sprawiłyby mi marzenia o śmierci tylko tych moich Turków? Nie, zemsta musi dosięgnąć niewinnych. No, więc oszalałam?

ORPHULUS: Nie... (*Katrin się śmieje*).

KATRIN: Nie mam piersi! Nie mam piersi! (*Śmieje się i łka. ORPHULUS obejmuje ją ramionami. Wchodzi KOBIEĆ*).

SUSANNAH: Czy jest tutaj moja siostra? (*Łkanie urywa się*). Katrin?

ORPHULUS: Tak.

SUSANNAH: Jest tak ciemno...

ORPHULUS: Jest ciemno. Musi być ciemno.

SUSANNAH (*pojawia się w smudze światła*): Tak... (*Wyciąga rękę do KATRIN*). Chodź już do domu.

KATRIN: Nie.

SUSANNAH: Chodź do domu i —

KATRIN: **Dom a co to takiego.** (*Pauza*). Nie cierpię tego apodyktycznego tonu.

SUSANNAH: Zwracam się do ciebie najłagodniej jak umiem —

KATRIN: Ton jest apodyktyczny —

SUSANNAH: Co za zabawne słowo, ty —

KATRIN: Uwielbiam zabawne słowa, tak, daj mi nowe słowo, a podziękuję ci za nie, ale dom, wypchaj się, weź ten dom i ugryź jak zimne, surowe jajko, paskudztwo, fe, zwymiotuję, fe, ostra skorupka wbija się w dziąsła, nie, jesteś apodyktyczna i zawsze byłaś, piękna, apodyktyczna i nieszczęśliwa, jesteś przynajmniej nieszczęśliwa, dzięki Bogu choć za to, mogłabym cię polubić, z czasem.

SUSANNAH: Ile ci trzeba czasu? Nosilaś cię na rękach, siostrzyczko.

KATRIN: Jestem taka okrutna, prawda? To dlatego, że posiadam słownictwo, a nie mam piersi, **nie dotykaj**. (SUSANNAH *cofa rękę*). Nie zniosłabym teraz niczyjego dotyku, nawet tych, którzy twierdzą, że mi współczują.

SUSANNAH: Ja tobie nie współczuję, Katrin.

KATRIN: Dlaczego nie? Wszyscy mi współczują.

SUSANNAH: Sądzę, że jesteś bardziej okrutna od tych gwałcicieli, żołdaków. (*Pauza*). No proszę, zmusiłaś mnie, żebym to powiedziała. Zmusiłaś mnie do wypowiedzenia uczuć, których zresztą nie żywię. Działasz tak na ludzi. Chodźmy do domu.

KATRIN: Skończyłam z domem, za co doprawdy wdzięczna jestem piechocie islamu —

SUSANNAH: Głupia —

KATRIN: **Nie nazywaj mnie głupią w taki sposób**. (*Pauza*). Nie mogę iść do domu, ponieważ — i słuchaj uważnie, to będzie dla ciebie trudne, może nawet nie do pojęcia — dom jest narzędziem pojednania, środkiem, za którego pomocą strumień współczucia zmywa wszystkie zbrodnie i gasi oburzenie, a winę pochłania tapicerka, dom dusi gniew, to miejsce, w którym niedorzeczne staje się do wytrzymania i samo piekło spoczywa poustawiane na półkach, nie chciałabym się rozstawać ze swoim cierpieniem, to wszystko, co mam (*pauza*).

SUSANNAH: A przygotowałam ci taki miły pokój...

KATRIN: Możesz się w nim pieprzyć. (*Wybuch*). Ach, mówię rzeczy niewybaczalne!

Powiedziałam to tylko dlatego, że on tu jest! (*Pauza*). Ale zrób tak, używaj go do miłości, mężczyźni za tobą szaleją, wiesz o tym. (*Zwraca się do ORPHULUSA*). Szaleją za nią. Oczywiście im stają w ślup. (*Odwraca się, zamierzając odejść*).

SUSANNAH: Dokąd więc pójdziesz?

KATRIN: Do klasztoru, jak to włóczęga. (*Wychodzi. Pauza*).

ORPHULUS: Ona jest — gotuje się ze złości i dyszy — ona —

SUSANNAH: Zawsze taka była. Te jej przejścia niewiele zmieniły. I oczywiście, także jej nie cierpię.

ORPHULUS: Wobec tego dlaczego —

SUSANNAH: Nie wiem. Często wybieramy życie z tymi, których nienawidzimy, jak zauważyłam. A na tych, których kochamy, jak nam się wydaje, wkrótce nie możemy patrzeć. Oczywiście przesadzam, to wynik przebywania w ciemnym pomieszczeniu z księdzem. W mieście brakuje chleba. Może tutaj się znajdzie? Umieram z głodu. (*Pauza. ORPHULUS przygląda się jej*). Wyobraź sobie, że tureckie dywany i całe namioty wymienia się teraz na główki kapusty. (*Obnaża przed nim piersi*). Na co czekasz, lada chwila przyjdzie epidemia i do Bożego Narodzenia wszyscy wymrzemy.

ORPHULUS (*odwracając od niej spojrzenie*): Niczego tak bardzo nie pragnę, ale nie mam chleba.

SUSANNAH: Może wobec tego za czekoladę?

ORPHULUS: Niestety... (*Zakrywa piersi*). Wszystko bym teraz oddał za kawałek czekolady...

SUSANNAH: Oj, tak, rozumiem.

ORPHULUS: Tyle się zjada czekolady, a teraz —

SUSANNAH: Prawda, że tak jest ze wszystkim? Ale cesarz wrócił, a oni nie poruszają się bez kuchni, dlaczego przesłuchujesz moją siostrę?

ORPHULUS: Wszystko zapisujemy — Boże, bądź miłosierny, oddałbym życie za bochenek chleba —

SUSANNAH: Rozumiem, ale —

ORPHULUS: Dokumentujemy okupację islamu, Diecezja zleciła to mnie, O, Boże, bochenek chleba, czy ktoś mi pomoże, to święty obowiązek wobec naszego ludu, to przecież nie jest przesłuchanie, nikt jej do niczego nie zmusza, zechciałabyś proszę odejść, ogarnia mnie straszliwy lęk, jakże spojrzę ci w oczy w czasach dobrobytu, wiedząc, że mogłem —

SUSANNAH: Będiesz mógł przyjść i poprosić, rozpocząć zwyczajowe zaloty, i jeżeli nie będę zajęta, to kto wie —

ORPHULUS: Zwyczajowe zaloty?

SUSANNAH: Tak, dobre obyczaje znów zapanują zaraz po otwarciu sklepów. *(Uśmiecha się)*. Jestem potwornie głodna. *(Opina na sobie odzież, zamierza odejść, zatrzymuje się)*. Zapewne nie masz chleba, prawda? Rozdałbyś go przecież. *(Pauza. Patrzą na siebie nawzajem)*.

ORPHULUS: Gdybym miał choćby jedną kromkę, przeszedłbym obok umierających i nie okazał, że ją mam. *(Pauza. Ona ma już wyjść, ale w tej samej chwili z ciemności wypada na scenę bochenek chleba. Spada do stóp ORPHULUSA. Oboje z SUSANNAH rzucają się na chleb, ale ORPHULUS jest szybszy. Rozpinając suknię, SUSANNAH znika w ciemności. Pauza, po której on idzie za nią. Po kilku chwilach w snopie światła pojawia się*

ZAKAPTURZONA POSTAĆ. Pauza. Odgłos oddalających się kroków SUSANNAH na kamiennej posadzce. Pojawia się ORPHULUS. Patrzy na POSTAĆ). Kto tu do — kto tu do kurwy nędzy — *(Zdziera kaptur z głowy postaci. To STARHEMBERG)*. Ja pierdolę, to człowiek, który ocalił Wiedeń... *(Kłęka przed nim)*. Jestem niezwykle ambitnym księdzem i miłuję Boga, zapewniam cię, w żarze jej ognistego...

STARHEMBERG: Doskonale.

ORPHULUS: Ale ty...?

STARHEMBERG: Ja? Ja słucham.

ORPHULUS: Zakradasz się tak do wielu pokoi? Tylko pytam? Padam do nóg tego, który ocalił miliony dusz, dlaczego podsłuchujesz nieszczęśliwe dziewczęta? Wyznaj mi to, jestem twoim sługą i nie ma takiego grzechu, którego ci nie odpuszczę, gdyby nie ty, tkwiłbym gdzieś nadziany na sztylety islamu, uczyni mnie swoim Spowiednikiem, będę sobie poczytywał za zaszczyt nie tylko słuchać o twoich bolesnych utrapieniach, ale też je z tobą dzielić. I dziękuję za bułkę, piekielnie cierpiałem. *(Pauza. STARHEMBERG podnosi go z klęczek, całuje i wychodzi).*

Scena trzecia

Pałac. DWORZANIE. Tron. Wchodzi LEOPOLD. Przewraca tron i przysiada na nim. Wśród DWORZAN chwilowe poruszenie i zakłopotanie.

LEOPOLD: Czasami chce wam się śmiać. Ale czujecie, że nie, nie wolno się śmiać. Czasami odczuwacie zażenowanie, mając wgląd w czyjeś wstrętne życie prywatne. Myślicie: ten ktoś nie powinien mi być tego pokazywać. A zdarza się, że przyprawia was o torsje idiotyzm popełniony przez kogoś, kogo darzycie szacunkiem. Jak gdyby w świecie została zachwiana równowaga. Mogę tylko wam powiedzieć, że pozwalałam wyrażać te wszystkie uczucia.

Śmiejcie się więc, jeśli macie potrzebę, a potem wstydzicie się tego śmiechu. Cesarz odgrywa jedynie brak poczucia bezpieczeństwa całego porządku. Zgodzicie się, że to prawda? *(Okazują poruszenie i zakłopotanie).* Nikt nie rozumie! Nihil comprehensa! A teraz możecie odwrócić tron. *(Ktoś stawia go na nogach. LEOPOLD rozsiada się wygodnie).*

IPSTEIN: Moralność.

LEOPOLD: Hm.

IPSTEIN: Zupełnie upadła.

LEOPOLD: To normalne podczas oblężeń. Jak ciastka zostawione na deszczu. Podobnie jest z humorem, też podupada. Dowcip może w czasie pokoju w ogóle nie śmieszyć, za to tłumy głodujących zarykują się z niego podczas oblężenia.

IPSTEIN: Myślę, że humor możemy pominąć na —

LEOPOLD: **Dlaczego nie dopuszczać humoru!** (*Pauza. IPSTEIN wzrusza ramionami*). Czy ja cię tyranizuję? Nie trzęś się tak, nikt ci nie utnie ręki, to nie jest Rzym ani Rosja.

HARDENSTEIN: Kobiety się sprzedają, a najgorsze są kobiety z burżuazji.

LEOPOLD: Powinniście okazać litość uprzywilejowanym, jak oni cierpią wskutek przeciwności losu. Zadbajcie przede wszystkim o zaopatrzenie najlepszych sklepów. Następny.

FALLENGOT: Waluta jest niestabilna.

LEOPOLD: Waluta jest zawsze niestabilna.

FALLENGOT: Ale nie do tego stopnia.

LEOPOLD: Mdli mnie, gdy słyszę o niestabilności waluty. Wzdragam się na samą myśl, że wygłupy waluty mogłyby zwichrować czyjeś życie, nawet psa czy gołębia. Powiesić walutę na gałęziach.

FALLENGOT: Właściwie nic by się nie stało, jest aż tak bezużyteczna.

LEOPOLD: Wyczuwam, że jesteś przychylny biciu monety.

FALLENGOT: Ani trochę, ale —

LEOPOLD: **Wstawać z kolan i do mennicy**, szkaradny widok. Bankierzy już wrócili?

HARDENSTEIN: Żydzi w ogóle nie wyjechali.

LEOPOLD: Spadające pociski to dla nich przelotny deszcz. Gdzie są tureckie skarby?

FALLENGOT: Leżą w wąwozach.

LEOPOLD: Więc na tym oprzyjcie nową ekonomię. Dość już i dziękuję za wasze opinie, wszystkie rozważam, wydają się szorstki, płytki, ale gdy jestem sam, głęboko się nad

wszystkim zastanawiam, musicie to oczywiście przyjąć na wiarę. (*Zaczynają wychodzić.*

LEOPOLD *kładzie dłoń na rękawie* MALARZA). Ty nie. (DWORZANIE *wychodzą. Pauza*).

Mówię to wszystko jak idiota jednego rodzaju. A ty milczysz jak drugi idiota. Rysuj mnie teraz. Pozuję. (*Kłęka na podłodze, jak pies*). Pozuję. I w ten sposób oszukuję twoją wyobraźnię.

MALARZ (przewracając stronę szkicownika): Jak?

LEOPOLD: Ponieważ artysta ma nadzieję, że portret ukaże ukrytą prawdę, a ja pokazuję mój sekret. Nazwij to: „Jego powrót do Wiednia”.

MALARZ: Czy muszę?

LEOPOLD: Tak. (*Zaczyna malować*).

MALARZ: Myślę, że odrzucając oficjalność monarchii, zgodzisz się, krzyżujesz szyki krytyce, a odgrywając głupca, odbierasz broń wszystkim, którzy odważyliby się nim cię nazwać, a skutkiem tego schlebiasz swojej inteligencji. Mam nadzieję, że cię nie obrażam.

LEOPOLD: Na polu bitwy nie bywałeś taki wnikliwy.

MALARZ: Było zbyt zimno.

LEOPOLD: **Jest zimno, to Europa...!**

MALARZ: Tak... tak... tak mówiłeś... przy każdym zamglonym rowie i pochówku — (Rzuca szkicownik na ziemię). To jest — to naprawdę jest — niemożliwe! Nie można — artysta nie może łudzić się nadzieją, że namaluje grę! Znajdź innego — znajdź kogoś —

LEOPOLD (*porzucając absurdalną pozę i siadając na podłodze*): Nie, nie, wybrałem ciebie... jesteś... (*Pauza. Płacze. Wchodzi STARHEMBERG, patrzy na nich*). Znowu płaczę...

Starhemberg... znowu płaczę... (STARHEMBERG *podchodzi do niego, obejmuje głowę*).

Dlaczego? Dlaczego ciągle ten płacz? (MALARZ *rysuje to ukradkiem*). Ty nie płaczesz? Nie płaczesz, prawda? **Dlaczego mnie to wprawia w taką złość** — (MALARZ *chce dyskretnie wyjść*). Nie wymykaj się tak! (*Przystaje*). Pokaż szkicownik. (*Podaje szkicownik*). Widzisz,

on to zapisuje, chwilę rozpaczy, jego palce pracują jak błyskawica, gdy stara się to uchwycić, jak on to dobrze potrafi — (*Wydziera stronicę, oddaje szkicownik. MALARZ wychodzi*).

Gdzie ty chodzisz wieczorami? Nigdy cię nie ma.

STARHEMBERG: Czy nie jestem wolny? Nie mam teraz żadnych tytułów poza honorowymi.

LEOPOLD: Nie, żadnych, i to na twoje własne życzenie. Ale połowę czasu nie ma cię w twojej posesji, a posłańcy mówią, że stan okien wskazuje na to, iż geniusz ją porzucił. Cztery razy posyłałem wiadomości. Jesteś bohaterem, a przemykasz się po mieście w tych swoich kapeluszach, potrzebny nam bohater, obawiamy się, że ktoś cię znajdzie leżącego w jakiejś ciemnej uliczce i rozniesie się, że Starhemberg popadł w niełaskę, oto wdzięczność – chociaż nie ma w tym ani krzty prawdy!

STARHEMBERG: Podczas oblężenia trzymałem połowę armat skierowanych na miasto.

LEOPOLD: Na miasto? Dlaczego?

STARHEMBERG: Co noc kilkunastu mieszkańców wymykało się z chustami, na których widniało: **kochamy islam**, koślawym arabskim pismem. Muszę ci powiedzieć, że w najgorszym momencie przyjąłem delegację, która proponowała spalić wszystkie wizerunki Chrystusa, a jeśli chodzi o sztandar cesarski, widziałem, że był wepchnięty w rynnę.

Oficerowie zdzierali epolety, a księża czaili się w perukach. Zmusiłem ich do przyjęcia wolności i kiedy wiwatują na moją cześć, ich oklaski głuszą wstyd huczący im w uszach.

Gardzę tłumem. Uwielbiam wielkie kapelusze.

LEOPOLD: Są tylko marni... są tylko marni... Nie mogę ich krytykować... jak mógłbym, największy dezterter, krytykować? Musisz nam pomóc w odnowie. Bądź lustrem, w którym my karły zobaczymy moc boskiego ja.

STARHEMBERG: Nie.

LEOPOLD: Uformuj nas na nowo, Starhemberg, który jesteś bez skazy — (STARHEMBERG *zamierza odejść*). **Kto ci pozwolił odejść!** (*Zatrzymuje się*). Myślę sobie, żeś jest samolub i zapatrzony w siebie fantasta, bo inaczej poddałbyś się wiele miesięcy temu. (*Pauza*). Nie, nie, posłuchaj, Tobie wszystko zawdzięczam i nie gardź mną, mogę sprawić, że uczynią cię świętym, chcesz być świętym? Da się to załatwić, długa szara szczeka i opadająca powieka, doskonale, spróbuj tego, jeśli znudziła ci się żołnierka, tylko nie wpadaj w anonimowość, a może nas nienawidzisz? (*Pauza*). Nienawidzisz... więc to ci tak ciąży... wychudłeś z nienawiści... O, Starhembergu, okrutniejszy od najgorszego arabskiego rzeźnika, który jak dziecko rozkoszuje się zadawaniem ciosów nożem, aż go to zmęczy, a budząc się rano, bawi się z dziećmi, których zapomniał uśmiercić. Starhemberg, mój stwórco, jesteś chory... (*Podchodzi do niego, obejmuje*).

STARHEMBERG: Niewinni nie są niewinni...

LEOPOLD: **Śmieję się! Śmieję się!**

CESARZOWA (*wchodząc*): Starhemberg! Jak on rzadko! Nie jest jednym z nas. Pocałuj mnie więc! (*Całuje ją w rękę*). Zimne wargi. Masz kochankę?

STARHEMBERG: Kocham pewną kobietę.

CESARZOWA: Ale usta masz zimne!

LEOPOLD: On nami wszystkimi gardzi.

CESARZOWA: Mną nie.

LEOPOLD: Tak, Tobą także! Ktoś pisze jego biografię, ale on nie podaje faktów. Miejski architekt wyrzeźbił go na plac Starhemberga, ale pomnik nie ma twarzy! Istna komedia; kiedy będzie mógł dorobić twarz?

STARHEMBERG: Niech będzie bez twarzy.

LEOPOLD: **Śmieję się! Śmieję się!**

CESARZOWA: Jesteś lojalnym poddanym Habsburgów?

STARHEMBERG: Trudno sobie wyobrazić lepsze rządy.

LEOPOLD: Widzisz! Tak się zachowuje!

CESARZOWA: Myśli, że swoim zuchwalstwem zdobędzie nasz podziw. Posuwa się niemal do obrazy i myśli, że będziemy podziwiał jego wyrafinowanie. Podziwiam to, niech już ci będzie! Usiądź, czy może nie usiądziesz?

STARHEMBERG: Nie.

CESARZOWA: No oczywiście! Usiąść znaczyłoby zrezygnować z protekcjonalności, podziwiam wszystkie twoje posunięcia, uważam cię za zimnego i doskonale wymyślonego człowieka. Chcę powiedzieć, że sam się wymyśliłeś, prawda, że tak?

LEOPOLD: Mam taką przenikliwą żonę, pod jej spojrzeniem topi się śnieg.

STARHEMBERG: Tak.

CESARZOWA: Proszę bardzo! Odpowiedź monosylabiczna, bo więcej sylab zburzyłoby efekt. Tak mnie pociągasz, Starhemberg, że uciekłabym z tobą do szałasów świniopasa i pieprzyła się tam do końca moich dni!

LEOPOLD: **Śmieję się!**

CESARZOWA: Widzisz, potrafię ci dorównać we wszystkich szczodrościach. Nie warto się trudzić dla nikogo, chyba że dla takiego, który się wymyśla, a potem znów wymyśla na nowo. Taki nas rozgrzewa!

LEOPOLD: **Śmieję się!**

CESARZOWA (do LEOPOLDA): Jak to ty, jak to także ty... (Całuje LEOPOLDA). Teraz musimy wymyślić Europejczyka, Starhemberg, złożyć go z potłuczonych kawałków. Przykleić głowę do łona i tak dalej. I przymocować włosy do popękanych, szalonych czaszek. I przestać się wstydzić. A teraz już idź, doskonały aktorze, idź już... (Kłania się jej).

Scena czwarta

Instytut Naukowy. LEKARZE stoją półkolem. KATRINA jest obnażona do pasa. W audytorium SUSANNAH i STARHEMBERG.

GRUNDFELT: Ma dziewiętnaście lat. Pochodzi z regionu rolniczego, z Turynii. Ma dziewięćcioro rodzeństwa. Potrafi pisać i czytać. Doznała dwudziestego trzeciego sierpnia. Nie udzielono jej pomocy medycznej. Jest w czwartym miesiącu ciąży. Złożyła zeznanie przed Komisją Episkopatu do spraw Bestialstwa.

KATRIN: Okazuję swoją ułomność na ochotnika.

GRUNDFELT: Stawia się dobrowolnie.

KATRIN: Nikt mnie nie musiał przekonywać.

GRUNDFELT: Z ochotą podda się badaniu, jakie przeprowadzi Instytut.

KATRIN: Z ochotą.

GRUNDFELT: Jesteśmy wdzięczni tej odważnej kobiecie za jej patriotyczną postawę.

KATRIN: A ja jestem wdzięczna wam.

GRUNDFELT: Wolno szkicować. (WIDOWNIA wstaje i otacza KATRIN, mają notesy i ołówki).

STARHEMBERG: Tłoczą się wokół niej... Jak ciasno ją otaczają i jak gorliwie...

SUSANNAH: Jesteś lekarzem? To idź tam szybko z ołówkiem, bo spóźnisz się na sporządzanie listy ran.

STARHEMBERG: Zobaczę ją...

SUSANNAH: Wszyscy ją zobaczą. Bardzo chce, żeby jej niedolę opublikować drukiem, i to w kolorze; przyglądasz mi się w taki sposób, jaki swego czasu powszechnie uznawano za obraźliwy...

STARHEMBERG: Jej nieobecne piersi, a twoje tak bardzo obecne...

SUSANNAH: To dziwne – myśleliśmy kiedyś – że takie zebrania intelektualistów urządza się z udziałem mężczyzn, którzy sami nie potrafią sobie nawet zrobić dobrze...

STARHEMBERG: Twoja soczystość a jej jałowość...

SUSANNAH: Ale zauważyłeś, jak bardzo szybko przyzwyczajamy się do wszystkiego? No dobrze, co tam masz? Ale słoniny nie chcę, o Boże, Starhemberg —

STARHMEBERG: Przedstaw mnie jej.

SUSANNAH: Czy ty jesteś, jesteś Starhemberg, taka jestem speszona —

STARHEMBERG: Całkiem niepotrzebnie chcesz mi oddawać honory —

SUSANNAH: Gryzę się w język.

STARHEMBERG: Świat spadł kilka szczebli w dół, a my wraz z nim; kiedy z nią porozmawiasz?

SUSANNAH: Natychmiast, jeśli rozkażesz —

STARHEMBERG: Ja już niczego nie rozkazuję — (*Susannah chce wyjść*). Zaczekaj —

Uwielbiam też kobiety —

SUSANNAH: O co mnie prosisz?

STARHEMBERG: Tu, na podłogę, pokaż mi —

SUSANNAH: Pokazać, tobie?

STARHEMBERG: Widziałem, jak cię pieprzyli —

SUSANNAH: Niemożliwe —

STARHEMBERG: Nie, to takie — kładź się, przyjrzę ci się — twoje włosy — twoje szpary —

SUSANNAH: Wolę, żebyśmy —

STARHEMBERG: Chcę tylko patrzeć, nie będzie żadnych komplikacji —

SUSANNAH: Muszę, przecież ocaliłeś Wiedeń. {*Kładzie się między ławami, unosi do góry suknie. Głos GRUNDFELTA, świszczący. STARHEMBERG ogląda ją, patrząc w dół, a od czasu do czasu podnosi wzrok*).

STARHEMBERG: Wstawaj już, kończą — (*Susannah podnosi się, wygładza suknie*).

Przedstaw mnie, potem zaczekaj na Ballgasse. (*Susannah przechodzi do przodu*).

GRUNDFELT: Obiektywizm naszego opisu twojego stanu nie umniejsza naszego głębokiego współczucia —

POZOSTALI: Nie umniejsza, nie umniejsza —

KATRIN: Intensywność waszego badania podobnie nie umniejsza mej skromności —

POZOSTALI: Nie umniejsza, nie umniejsza —

GRUNDFELT: Dziękujemy ci za to i za łaskawość.

KATRIN: Również wam dziękuję, czy to będzie w druku, i to w kolorze? (*Wahają się z odpowiedzią*).

BRUSTEIN: Obecnie zamierzaliśmy tylko sporządzić opis twojego straszliwego nieszczęścia, dostępny w archiwum Instytutu...

KATRIN: Ależ, nie, zrozumiałam, że to zostanie opublikowane —

BRUSTEIN: W czasopiśmie naukowych, możliwe, że niektóre szczegóły —

KATRIN: Nie, nie, a w sklepach, to znaczy —

BRUSTEIN: Ja — czy my —

KATRIN: Och, oczywiście!

GRUNDFELT: Nie przypominam sobie, żebyśmy —

KATRIN: Z całą pewnością, mniej więcej sześć tysięcy egzemplarzy!

GRUNDFELT: Nie sądzę, aby —

KATRIN: **Tak, sześć tysięcy.** Nie wymyśliłam tej liczby. Księcia Starhemberga wydrukowano w piętnastu tysiącach, wisi w każdym barze, a Cesarza osiemnaście tysięcy, a czemu nie, w mieście są wielkie zapasy kartridżów, z tuszem też nie ma problemu, niektórzy nawet zaczęli go pić —

SUSANNAH (*podchodząc do niej z szalem*): Moja siostra jest —

KATRIN: **Nikim.** Moja siostra jest. (Pauza).

STARHEMBERG (*schodząc w dół*): Czy mamy rysunek?

MALARZ: Wstępny szkic —

STARHEMBERG: Więc go podbarw, i dodaj twarz.

SUSANNAH: Moja siostra jest —

KATRIN: Nikim. Moja siostra jest. Załatw wszystko i pospiesz się z próbnym wydrukiem.

Jeżeli nie masz jeszcze mojej twarzy, posiedzę tu dłużej.

MALARZ: Jeżeli Księżę to zamówi, ja —

KATRIN: Jaki księżę? To ja mam wszystkie prawa.

STARHEMBERG: Poproście ją, żeby pozwoliła się okryć... (Pauza. KATRIN pozwala

SUSANNAH okryć sobie nagie ramiona szalem. STARHEMBERG przechodzi na przód).

Umów się, niech ci pozuje. Chwilowo mieszka u zakonnic.

KATRIN: I jeszcze jeden, później, o taki...! (*Udaje, że karmi niemowlę*). Podnoszę niemowlę,

które płacze, bo to pora karmienia, do nieobecnych piersi, w których nie płynie mleko!

Wyciąga rączki, maleńkie rączki...! Wyobraź sobie mój wyraz twarzy! I jego!

STARHEMBERG: Szkicuj jak mówi.

KATRIN: W dziesięciu tysiącach egzemplarzy.

GRUNDFELT: Wątpię, by to się sprzedawało w dziesiątkach —

KATRIN: **Źle to oceniasz.** (*Pauza*). A gdyby tak miało być, wrzucajcie je do skrzynek na listy... (GRUNDFELT *klania się, wycofuje, wraz z LEKARZAMI*).

SUSANNAH: To jest księżę Starhemberg. (KATRIN *patrzy na niego*).

KATRIN: Poród jest przewidziany na siedemnastego. Chcę, żeby odbył się publicznie, na placu, i mają być trybuny. Żadnych zadaszeń, nawet gdyby miało padać, i niech położnymi będą aktorki, gdyby pielęgniarki miały skrupuły. (*Do STARHEMBERGA*). Dlaczego na mnie nie spojrzysz?

STARHEMBERG: Patrzę tylko wtedy, gdy mam pewność, że coś ujrzę.

KATRIN: Ujrzysz. *(Wstaje, opada na SUSANNAH, która ją podtrzymuje. Wysiłkiem woli KATRIN uwalnia się z objęcia SUSANNAH)*. Ach, jak bardzo chcielibyście, żebym czuła swą ułomność! Pocałuj mnie! *(SUSANNAH chce ją pocałować. KATRIN odsuwa policzek)*. Nie ufam pocałunkom! Obejmij mnie! *(SUSANNAH chce ją objąć, ona ją odpycha)*. Duszę się! Tylko ocieracie swój żal o me ciało, jakby miał od tego ustać, jak krowa, która przysuwa się tyłem do ciernia i drapie sobie skórę. Tak właśnie całujemy, tak obejmujemy! Gdzie jest zakonnica, chcę już iść, Matko! *(Naciąga suknię)*. To nie było trudne do zniesienia, wiecie dlaczego? Nikt nie patrzył mi w oczy, a mam takie urocze oczy. Czy mam takie niebezpieczne spojrzenie? Turcy też nie patrzyli. *(Wchodzi ZAKONNICA)*. Moje oczy poddały się gwałtowi, Matko, są jak niezajęte pokoje... *(ZAKONNICA ją obejmuje i okrywa habitem, prowadzi do drzwi. Wchodzi ORPHULS, kłania się jej)*.

STARHEMBERG: Pozwól, że będę ojcem twego dziecka... *(Pauza. KATRIN przystaje)*.

KATRIN: Ale ono nie będzie żyło! *(Wychodzi. Pauza)*.

SUSANNAH: Czuję, że żyjemy w piekle, ale coś powoduje, że to piekło można znieść. Co to takiego? Złość? Mnie złość zupełnie nie wychodzi.

ORPHULS: To nie jest piekło.

SUSANNAH: Nie piekło? Czym więc jest piekło?

ORPHULS: Nieistnieniem.

SUSANNAH: Zapewniam cię, to jest nieistnienie.

ORPHULS: Boga. *(Pauza)*.

SUSANNAH *(do STARHEMBERGA)*: Zaproś mnie do kawiarni. Powiedziałeś, że zaprosisz, za pokazanie ci nieistnienia Boga... *(Wychodzi)*.

ORPHULS: W czasie oblężenia ład moralny upadł, a równocześnie był na najwyższym poziomie. Z jednej strony zburzone zostały wszystkie zapory na drodze do niemoralności, a z drugiej strony poniesiono szczególne ofiary w duchu miłości do człowieka. Masz podobne

refleksje? (STARHEMBERG *nie odpowiada*). Każdego nowego dnia budziliśmy się z poczuciem, że może dokonać się **całkowita przemiana**, wraz ze wschodzącym słońcem. Śmierć, oczywiście, ale co gorsza, niewolnicze poddanie się cudzoziemszczyźnie... krzyk mułłów w ich namiotach... czy nigdy już nie usłyszymy krzyku mułłów w ich namiotach? Jak mocno przyciskałem do siebie kobiecy zadek, jej ciepło, nasz nędzny cienki koc, całowałem jej wychudłą szyję, a łzy spływały mi po twarzy, **uderzyć w dzwony, powiedziałem, gdzie podziały się nasze dzwony?** I wtedy w końcu dzwony odpowiedziały z mocą, zalewając wszystko jak wielkie morskie fale, dźwięczącego żelaza, a ona z wolna się poruszyła, jakaś wdowa, blada, przypadkowa wdowa, która w swym chudym ciele przechowała wszystko, co nasze, całą kulturę, jej wizerunek w jej spękanych wargach. Wciągnęliśmy majtki pod brudnymi prześcieradłami, na oknach szron, a na stole zatłuszczone talerze z kolacji...

STARHEMBERG: Gdy cię tak słucham, to wiem, że mógłbym kochać tylko zdeprawowanego księdza...

ORPHULS: Nie zdradzaj mnie. Jestem ambitny.

STARHEMBERG: Nigdy.

ORPHULS: Kiedyś widziano cię na każdej ulicy, na każdej barykadzie, słyszałem, jak ludzie przysięgali, że widziano cię w siedmiu dzielnicach na raz, a chociaż ja ciebie nie widziałem, wyobraziłem sobie, że widziałem, a dzieci wskazywały na twój profil w chmurach, i powiedziałem: znam ten dziób...!

STARHEMBERG: Uwielbiam twoją pucołowatą twarz. Wiem, że kiedy odprawiasz mszę, rzadko myślisz o Chrystusie.

ORPHULS: Myślę o Nim, ale — (Pauza). Nie, prawie nie myślę o Chrystusie, myślę raczej — że Nim jestem.

STARHEMBERG: Tak...

ORPHULS: Opowiadam ci o tym! Opowiadam ci, Bóg wie dlaczego, dlaczego ci to opowiadam? Nie zdradź mnie, jestem taki ambitny!

STARHEMBERG: Wolałbym przyjąć błogosławieństwo od ciebie, niż by tysiąc kardynałów cuchnących celibatem wytrząsało na mnie odpuszczenie grzechów. (*Wchodzi STARUSZKA*).

PIERWSZA MATKA: Czy to on? Czy to jego głos wydaje okrzyk miłości?

ORPHULS: Nie.

PIERWSZA MATKA: Wszędzie go znajdę!

STARHEMBERG: Tak, jest wędrownym kaznodzieją. (*Wychodzi*).

PIERWSZA MATKA: Jego długie słowa, jego urocze słowa, cała jego urocza edukacja sięga do chmur i —

ORPHULS: Nie mam już chleba. (*Pauza*).

To znaczy —

Mam kawałek, ale —

Potrzebuję go dla —

Ach, pierdolę to, bierz! (*Wyciąga chleb spod sutanny*).

PIERWSZA MATKA (*biorąc chleb*): Nie klnij tak, narobisz sobie wrogów.

ORPHULS: Mam tylko jednego wroga, a jesteś nim ty. Cofam te słowa.

PIERWSZA MATKA: Zawsze cofasz wszystko, dopiero gdy to powiesz.

ORPHULS: Mam nadzieję, że nie zjesz tego tutaj, boli mnie dusza na myśl, że za niego mogłem pieprzyć się z kobietą, a tak zda się tylko, by przedłużyć twoje ciężkie życie. Cofam te słowa, ale wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

PIERWSZA MATKA: Nie byłabym ci ciężarem, gdyby twoje siostry bardziej poczuwały się do tego, że są córkami.

ORPHULS: Masz cudowny apetyt i świetnie się trzymasz na diecie z ptasiego gówna.

Większość starców straciło siły i zmarło w pierwszym miesiącu oblężenia. Zaglądałem im

wszystkim w twarze, ale ciebie tam nie było? Zabierz ją szybko, modliłem się do Boga, ale nie, drapie w drzwi przed porannym ostrzałem...

PIERWSZA MATKA: Kochasz mnie, to mnie utrzymało przy życiu.

ORPHULUS: Ciągłe to powtarzasz.

PIERWSZA MATKA: Musisz mnie kochać, bo inaczej byś mnie nie tolerował. Jesteś dobry, a ja ciągle od ciebie czegoś wymagam, jesteś zajęty, a ja cię nagabuję —

ORPHULUS: Tak, no, ja —

PIERWSZA MATKA: Ach, tak, ale już wkrótce nie będę ci sprawiała kłopotu, mojego życia już nie ma —

ORPHULUS: Cały czas to powtarzasz, ale —

PIERWSZA MATKA: Żyję dla ciebie —

ORPHULUS: Dla mnie, ale —

PIERWSZA MATKA: Mój mały —

ORPHULUS: Boże na niebiosach —

PIERWSZA MATKA: Obejmował mnie kiedyś tymi ramionkami, ukrywał kochaną twarzyczkę w mojej ubogiej sukni —

ORPHULUS: **Proszę ! Ach, proszę!** (*Ona milczy, żuje chleb. Pauza*). Staram się, naprawdę staram się wyeliminować cię z mojego życia, zatrzeć twój ślad, jak rzeźnik, który codziennie rano wyciera swój rzeźnicki stół...

PIERWSZA MATKA: Zbyt głęboka bruzda... (*ORPHULUS potakuje głową*).

Zbyt głęboka zmaza... (*ORPHULUS odwraca się tyłem. Pauza*).

Te wszystkie kobiety.

ORPHULUS: Tak. (*Matka ma już odchodzić, zatrzymuje się*).

PIERWSZA MATKA: Widzę cię w tym biskupim kapeluszu.

ORPHULUS: Jak zawsze. Od kiedy tylko wstąpiłem do chóru.

PIERWSZA MATKA: Mój syn wszechmocny w tym biskupim kapeluszu —

ORPHULS: Jeżeli będę chciał zostać biskupem, to zdecyduję.

PIERWSZA MATKA: No oczywiście.

ORPHULS: Nie jestem ambitny. To ty jesteś ambitna. Aż do obrzydzenia. Jestem szczęśliwy jako kapłan. Szczęśliwy i spełniony.

PIERWSZA MATKA: Dobrze. Nie zatrzymuję cię wobec tego. Masz pewnie bardzo dużo pracy —

ORPHULS: Zostań jak długo chcesz. Ja — zostanę, jeśli ty —

PIERWSZA MATKA: Nie, muszę iść —

ORPHULS: Musisz? No, jeżeli musisz, ty —

PIERWSZA MATKA: Nie oplakuj mnie.

ORPHULS: **Cały czas mówisz o umieraniu, ale czy ty!**

PIERWSZA MATKA (z bezbrzeżną cierpliwością): Będziesz, oczywiście. Będziesz mnie oplakiwał.

ORPHULS: Nie cierpię tego, w jaki sposób jesz. Połowa okruszków spada na podłogę.

PIERWSZA MATKA: Zawsze tak jadłam.

ORPHULS: Właśnie, i to mnie zawsze przerażało.

PIERWSZA MATKA: Myślałam, że lubisz prostych ludzi. Jesteśmy prości —

ORPHULS: Czasami myślę, że mógłbym cię udusić.

PIERWSZA MATKA (klękając, zmiatając okruszki): Wiem, to z miłości.

ORPHULS: Przestań! Wstań! (Ona kończy, podnosi się). Teraz już idź.

PIERWSZA MATKA (patrząc na niego): Mój własny syn. (Wychodzi. Pauza).

ORPHULS: Kocham cię! Naprawdę cię kocham! (Pauza). Jeżeli nic się nie zmieniło, dlaczego cierpimy? Pochowałem trzydziestu ludzi jednego dnia, a wciąż naśladuję! (Dotyka się, jakby przeprowadzał badanie). Drugie ja. Drugie ja nienarodzone. Nadgarstek we

wnętrzu nadgarstka. Płuco wewnątrz mojego płuca. *(Pauza)*. A w szpitalach mówili – młodzi, ale nie tylko młodzi – jakże mnie boli niesprawiedliwość mojej śmierci. Nie byłem, nie byłem jeszcze tym, kim mogłem być. Ale patrząc na nich, pomyślałem: gdybyś był, to kim byłbyś? Kimże wspinałym? I doszedłem do wniosku, że nikim. Dar lat zmarnowałiby na niezobowiązujące powtórzenia i służalstwo. Wobec tego glina. Narzekająca glina. *(Patrzy w bok, widzi SUSANNAH, która wróciła i przygląda się mu)*.

SUSANNAH: Mówisz do siebie? Następny oszalał w wyniku obłąkania? *(Pauza)*. Rumienisz się! Cudny rumieniec!

ORPHULS: Ja – ja –

SUSANNAH: Modliłem się?

ORPHULS: Nie modliłem, nie. *(Pauza. Patrzy na nią)*. Dzisiaj nie mam chleba.

SUSANNAH: Już jadłam.

ORPHULS: Jadłaś? Aha... *(Pauza. Następnie z entuzjazmem)*. To zostań moją kochanką. *(Dłuższa pauza)*.

SUSANNAH: Dobrze.

ORPHULS: Ach, moja własna suka, tak...! *(Podchodzi do niego. On się wzdraga)*. Nie.

SUSANNAH *(powstrzymana)*: Nie?

ORPHULS: Nie wolno ci – zwyczajnie –

SUSANNAH: Nie –

ORPHULS: Rozumiesz? Nie zwyczajnie, ale –

SUSANNAH: Tak. *(Pauza)*.

ORPHULS: Znosząc. *(Pauza)*

To. *(Ona wychodzi. On pada na ziemię, pogrążony w ekstazie)*.

Scena piąta

Piwnica w Wiedniu. STARHEMBERG wśród WYRZUTKÓW.

STARHEMBERG: W całym nieszczęściu, jak wytrwali są {the destitute}! Mimo strasznej tragedii, jak wytrzymali są ubodzy! Tolerancyjni, na wpół tolerancyjni, **zmiażdżeni na śmierć!** Wykształceni, na wpół wykształceni, **starci na proch?** Okrutni, na wpół okrutni, **spaleni na popiół**, ale ci, którzy nie mają ani nadziei, ani majątku – **ci odziedziczą ziemię!** To wy! (*Ściska jednego mocno*). Kogo naprawdę kochasz, tych, którzy wciskają ci do ręki drobne?

PIERWSZY ŻEBRAK: Nie —

STARHEMBERG: Nie — tych, którzy chodzą z ulotkami i głoszą rewolucję?

PIERWSZY ŻEBRAK: Nie —

STARHEMBERG: Nie — tych, którzy oferują łóżko na Boże Narodzenie, tych kochasz?

PIERWSZY ŻEBRAK: Nie —

STARHEMBERG: Nie, ci, którzy łamią ci kości żelaznymi obręczami, ci są twoimi braćmi!

PIERWSZY ŻEBRAK: Nie wiem, do czego —

STARHEMBERG: **Tak, braterstwo bękartów!** (*Puszcza go*). Tak, bardzo niewielu z was umarło, jak widzę, drodzy przyjaciele, bardzo niewielu, ach, bardzo niewielu, a gdyby islam sforsował bramy, nie zniżyłby się do obcinania waszych nosów, którzyście tacy kościści, nie, żebrak ściąga na siebie bardzo niewiele przemocy, powinniśmy się od niego uczyć **nie stój za mną nie cierpię tego** czy ja prawię wam kazanie, nie mam takiego zamiaru, poszukuję wiedzy, błaznuję, wprowadzam w błąd, zlizuję oleisty wysięk spływający z waszych jelit **nie zachodź mnie od tyłu** —

DRUGI ŻEBRAK: Szalony i podły z ciebie skurwysyn, Starhemberg —

STARHEMBERG: **Nie zachodź mnie od tyłu uwielbiam widzieć twoją twarz na której stoi wypisane dobór naturalny**, do góry monarcho! (*Sadza sobie ŻEBRAKA „na barana” i paraduje z nim*). Jestem jego koniem! Zepnij ostrogami, ludożerco! Użyj bicia, aniele!

DRUGI ŻEBRAK: Opuść nas na ziemię, piździelcu...!

STARHEMBERG: **Przylapałem go z gębą w brzuchu trupa!**

DRUGI ŻEBRAK: Odpierdol się, gębowy dupku —

STARHEMBERG: Naprawdę! I doskonale! Zapomnieć o szacunku? To nie ja! Ja cwałuję, przedstawiam pokaz ujeżdżania, jestem tak doskonały jak koń ciągnący karetę, zwierzę do karawanu, o, panie, o geniuszu samorodny, **przylapałem go z gębą we wnętrznościach!**

DRUGI ŻEBRAK: Kogo ty, kurwa —

STARHEMBERG: **To nie ty? Wobec tego twój sobowtór!**

DRUGI ŻEBRAK: Postaw mnie, bo cię tak kopnę, ze nerki ci dupą wypadną —

STARHEMBERG: Postawić? Na pokornej glebie? Chodzić po ziemi, ty? Ach, nie, nie ty, **Monarcho!** *(Zrzuca go gwałtownie na ziemię).*

PIERWSZA ŻEBRACZKA: Lepiej uważaj, obrażasz uczucia tych panów.

STARHEMBERG: Ich wrażliwość mnie pochłania.

PIERWSZA ŻEBRACZKA: Oni też oddychają.

STARHEMBERG: Tak, czuję.

PIERWSZA ŻEBRACZKA: Oni też cierpią.

STARHEMBERG: Co, na niestrawność z powodu ludzkiego mięsa? Nie, chylę czoła przed taką wytrzymałością, wiesz, że chylę, uczę się od ciebie, jestem w twoim nowicjacie, wystawiam język, aby spijać twą sączącą się mądrość, jak aniołek z fontanny, siknij we mnie swym życiem!

DRUGA ŻEBRACZKA: Co z ciebie, kurwa, za anioł —

STARHEMBERG: Jeszcze nie anioł — ale próbuję —

DRUGA ŻEBRACZKA: **Kto cię karmił?**

STARHEMBERG: Komisariat armii.

DRUGA ŻEBRACZKA: **Pluję na to.**

STARHEMBERG: Czuję twoją ślinę; chłodny, doskonały płyn...

PIERWSZA ŻEBRACZKA: Po co tu przychodzisz?

STARHEMBERG: Nurzać się w dozgonnej wdzięczności! Pławić się w słowach podzięk, po cóż innego? Czymże jest dar panowania wobec waszych wiwatów? Wdzięczność bogaczy to czysty egoizm, ale zasłużyć na pochwałę u tych, którzy znają tylko rynsztok! (*Przyklada dłoń zwiniętą w trąbkę do ucha*).

Wybawca, powiedziałaś?

Odkupiciel, tam słyszę?

Nie, nie usłyszałem, takie głośne owacje — (*Obmacuje PIERWSZĄ ŻEBRACZKĘ*).

Pieprz się ze mną. Będę całował twoje strupy, będę twoim Chrystusem, podstarzałym Chrystusem, któremu udało się wymigać od ukrzyżowania —

PIERWSZA ŻEBRACZKA: A pieprz się, ja już nie pocieram —

STARHEMBERG: Pocieranie, tak nazywa miłość...!

DRUGI ŻEBRAK (*podchodzi blisko, grożąc mu*): Nic mnie bardziej nie złości, mister, jak taki sflaczały snob, który się spuszcza na widok biedy —

STARHEMBERG: Rozpoznaje mnie —

DRUGI ŻEBRAK: Gęba na kłódkę, gównojadzie —

STARHEMBERG: Moja warga nabrzmiewa od twoich komplementów — (*DRUGI ŻEBRAK zamierza się na STARHEMBERGA, ale ten jest szybszy i chwyta go w straszliwy uścisk*). No, tańcz, który tak strasznie nienawidzisz, tańcz, którego życie tak mierzi, **nie tańczysz!** (*Szarpie ŻEBRAKA*). Ach, przesuwam się w takt jakiegoś gawota, jakiejś parodii dobrych manier, naucz mnie, tego nie znam — (*Znów nim potrząsa*). Ach, jak ty się ruszasz, czy to **zawołowane oznaki miłości** —

DRUGI ŻEBRAK: Co ty — boli — robisz —

STARHEMBERG: Czy symbole hierarchii? Nie umiem tego powtórzyć!

DRUGI ŻEBRAK: A — kurwa i —

STARHEMBERG (*opuszczając go nisko w uścisku*): Teraz w dół, smrodzie, na twój ulubiony poziom... (*Przyciska jego usta do bruku. Cisza. Puszczą go, odchodzi, cały się trzęsąc*).

TRZECI ŻEBRAK: Skończy się na tym, że wyłupią ci oczy, albo utną nos, ośmielam się zauważyć, ci nieszczęśnicy chowają żale, nie mając wiele do chowania... (STARHEMBERG *patrzy na niego*). Wydaje mi się, że możemy być spokrewnieni...

STARHEMBERG: Jak cała ludzkość, gdyby można było przekopać sypialnie.

TRZECI ŻEBRAK: Touché, ale jestem Esterhazy z wykluczonej linii.

STARHEMBERG: Przypominam sobie ten nos.

TRZECI ŻEBRAK: Nie chodzi mi o przywileje, widziałeś może moją siostrę, nie proszę o przysługę, oczywiście, umieszczono ją w zakładzie w Estragomie —

STARHEMBERG: Odejdź, no już —

TRZECI ŻEBRAK: Zamkniętą i skutą łańcuchami, jak ona ma pisać wiersze w takiej pozycji, kajdany przymocowano do sufitu, to nie do pomyślenia, jedynym powodem uwięzienia jest jej poezja, nie rymowała się, rozumiesz, nie proszę o przywileje, dlaczego twoje oczy przygasły? (*Siada u stóp STARHEMBERGA, milczy*).

PIERWSZA ŻEBRACZKA: Uszkodziłeś Larriemu gardło, dziki kocie...

STARHEMBERG: Niech więc potrząsa miską z powodu dwóch ułomności zamiast jednej.

PIERWSZA ŻEBRACZKA: Prawdziwa z ciebie świnią w tym nastroju...

DRUGI ŻEBRAK (*rycząc z drugiego końca*): **Wydlubię mu oczy!**

ŻEBRACY: Siadaj, Larry, siedź, synu...

DRUGI ŻEBRAK: **Oślepić go, dalej!**

STARHEMBERG: Nie potrafiłbyś oślepić gołębia, nawet gdyby siedział związany w twoich dłoniach...

DRUGI ŻEBRAK: **Szczam na ciebie!**

ŻEBRACY: Spokojnie, Larry...

DRUGA ŻEBRACZKA: A kto cię tu w ogóle prosił?

STARHEMBERG: Nikt nie prosił, niegdyś doskonała, zapierająca dech w piersi ekscelencjo — dla której kiedyś przeczołgałbym się alejami gnijącego mięcha...

DRUGA ŻEBRACZKA: Szczam na ciebie!

STARHEMBERG: Tak twierdzisz.

CZWARTY ŻEBRAK (*siedzący obok STARHEMBERGA*): Wiesz, więc mi powiedz, będzie kiedyś państwo bez biednych?

STARHEMBERG: Nigdy. Chyba że aresztują biednych i osadzą ich w pałacach. Tego nie wykluczam.

CZWARTY ŻEBRAK: A czy biedni spalą domy bogatych?

STARHEMBERG: Tak, będą je stale palić, bo jakże inaczej bogaci mogliby się czuć szczęśliwi?

CZWARTY ŻEBRAK: Nic z tego, co mówi, nie rozumiem! Nic!

DRUGI ŻEBRAK: **To dźgnij go w oko!**

CZWARTY ŻEBRAK: **Stul pysk!**

STARHEMBERG (*schwyciwszy CZWARTEGO ŻEBRAKA za kołnierz*): Opisz, na co masz nadzieję, z czym wiążesz nadzieję?

CZWARTY ŻEBRAK: Nadzieja?

STARHEMBERG: Tak, wiesz, co to takiego, wyssałeś to z mlekiem matki, nie miałeś matki?

CZWARTY ŻEBRAK: Tak —

STARHEMBERG: Więc, co? (*Pauza*)

CZWARTY ŻEBRAK: Obiad!

STARHEMBERG: **Nie, po obiedzie!** (*Pauza*)

CZWARTY ŻEBRAK: Żadnej, po obiedzie... (STARHEMBERG *podnosi się*).

PIERWSZA ŻEBRACZKA: Lepiej nas nie odwiedzaj. Będziemy nadal znieprawieni, jak dotąd, i ty będziesz znieprawiony, jak dotąd, i szczać na wszystko, ale nie przekraczać granic.

(*Pauza. STARHEMBERG zamierza odejść*).

CZWARTY ŻEBRAK: Zabierz mnie...! (*Przystaje, patrzy na CZWARTEGO ŻEBRAKA, potrząsa przecząco głową, wychodzi. CZWARTY ŻEBRAK wybiega za nim*).